

W piątek (9.10.20) miał miejsce we wrocławskim NFM koncert niezwykły. Jordi Savall wraz ze swoim Le Concert des Nations zaprezentował melomanom dwie symfonie Beethovena – Dziewiątą i Siódmą. Przypomniały mi się czasy, gdy jego interpretacja Eroici stała się rewolucją w rozumieniu tej symfonii. Nawet osoby stroniące od subiektywizmu katalońskiego Maestra musiały przyznawać, że ta Eroica, mocna i wstrząsająca to jest coś.

Zresztą Jordi Savall ma zagorzałych muzycznych przyjaciół i zadeklarowanych muzycznych wrogów. Zawsze uśmiechałem się do siebie, gdy w Muzycznych Trybunałach Dwójki niektórzy z jurorów oceniających nagrania zarzekali się, że nie trawia Savalla, po czym wygrywała jego interpretacja, gdyż o wykonawcach dowiadywano się dopiero po wyłonieniu zwycięskich interpretacji.

Ostatnio jednak uległem nawet do pewnego stopnia temu krytycznemu nastrojowi, gdyż ostatnie bachowskie i haendłowskie nagrania Maestra borykają się z niezbyt fortunnym doborem głosów solistów. W muzycznych podróżach Savalla pojawiają się też te same utwory ilustrujące renesans, imperium osmańskie, szeroko pojętą Arabię i tak dalej, i tak dalej. Jako posiadacz dziesiątków płyt katalońskiego artysty stałem się rzeczywiście wybredny.

Na piątkowy wieczór z Savallem i Beethovenem szedłem zatem rzeczywiście zaintrygowany. Nie byłem pewien, co mnie spotka w przerzedzonej przez koronawirusa Sali Główniej NFM. Do tego program się zmienił. Miała być cała Dziewiąta, z naszym

chórem, który wsławił się ostatnio udziałem w cennym nagraniu tego samego utworu z Giovannim Antoninim. Z uwagi na zarazę zrezygnowano jednak z ostatniej, chóralnej części i wykonano Dziewiątą w porządku pierwszej, trzeciej i na koniec drugiej części. Savall stwierdził na pocieszenie, że w dawnych czasach tak niekiedy radzono sobie z tym trudnym obsadowo utworem. Zamiast części z chórami w programie pojawiła się Siódma symfonia, najtrafniej oddająca żywioł dionizyjski zdaniem przyjaciół i wrogów, czyli Wagnera i Nietzschego. Trudno się z nimi nie zgodzić.

Gdy usłyszałem pierwsze dźwięki savallowskiej Dziewiątej dosłownie oniemiałem. Tak plastycznych, ulotnych, zmysłowych i zaczarowanych smyczków jeszcze w życiu nie słyszałem. A przecież NFM gościł w ostatnich latach wszystkie najlepsze orkiestry na świecie. Takie smyczki to było coś zupełnie niemożliwego, tak jakby wszyscy smyczkowcy Le Concert des Nations zamienili się w Savallów, a nawet najzagorzalsi krytycy katalońskiego Maestra uważają go przecież za arcyministra viola da gamba. Przy takim kwintecie orkiestry wszystko stało się możliwe. Otrzymaliśmy wielką, frapującą interpretację Dziewiątej. Jak w każdej wielkiej interpretacji (a nie ma ich tak wiele) symfonia zyskała nowe wymiary, albo raczej odkryliśmy w niej nowe wymiary. Wymiary trudne do opisanania, całkowicie pozostające poza możliwościami słów. Mogę tylko nadmienić, że była to interpretacja bardzo malarska, mniej architektoniczna, momentami bardzo wyciszona, nie bojąca się teatralności tego arcydzieła. Czysta rewelacja! Dziś chór NFM nie mógł zaśpiewać w tej arcyinterpretacji, ale mam nadzieję, że znajdzie się na płycie i jako wrocławianin jestem dumny z tego, że nasz chór będzie uczestniczył w czymś tak niezwykłym.



Jordi Savall / fot. Barbara Rignon

Siódmkę nazwał Wagner apoteozą tańca. Element dionizyjski, bachiczny, chtoniczny i roztańczony, jaki zawiera w sobie to arcydzieło jest jedyny w swoim rodzaju i nieodparty. W każdej sztuce najtrudniej odzwierciedlić radość, tragedie wydają się przy niej proste do sportretowania. Dzięki szekspirowskiej grozie wrażliwy odbiorca sztuki odczuwa katharsis. Podobnie, gdy ma do czynienia z tragediami Ajschylosa czy Sofoklesa. Czy można jednak odczuwać katharsis poprzez zapamiętanie w radości, poprzez upajanie się istnieniem? Można, choć niewielu artystom to się udało. Ja potrafię wymienić tylko Beethovena i Arystofanesa. Może jeszcze Botticelli, Rafael i Palestrina? Lecz tylko u Beethovena ta radość jest tak pierwotna, chtoniczna i głęboka. Savall oddał doskonale tajemnicę Siódmej symfonii, nie bojąc się intymnej kameralności w niektórych momentach tego dzieła.

Nie tylko smyczkowcy grali wspaniale. Również instrumenty dęte i znakomite kotły robiły wielkie wrażenie. Co ciekawe jednak, rogi brzmiały wręcz dziko. Wydaje mi się, że w chęci prezentacji dzieła na oryginalnych instrumentach i kopiach oryginalnych instrumentów grający na rogach dostali szczególnie trudne i niepokorne wersje rogów.

Symfonie Beethovena z Savallem stały się dla mnie jednym z tych kilku koncertów, które wspomina się całe życie z dumą, że miało się szczęście w tym uczestniczyć. Taka prezentacja arcydzieł zmienia nas samych – nasze myślenia, naszą wrażliwość, nasze rozumienie świata. To sztuka w najczystszej postaci.